

Nie wiedziałem, jak się nazywa. Nie miałem pojęcia, gdzie mieszka ani skąd jest. Nie poznałem jej osobiście, nie zamieniłem nawet jednego słowa. To nie traf, zrządzenie losu czy Boska interwencja. Zresztą, gdyby tak było, wcale nie byłbym wdzięczny. Dziękować jakiejś obcej sile, której nikt de facto nie widział i przekonująco nie opisał, za tak niesamowite spotkanie, po którym przez kilka miesięcy nie mogłem zmrużyć oka, a w ciągu dnia chodziłem jak cholerne zombie? Wolne żarty!

Nie tak wyglądają wstępy do tego typu historii, prawda? Co powiecie na to?

Miała na imię Jennifer, kupiłem u niej bilet z Kolorado do Nebraski, płaciłem gotówką. Poczekalnia świeciła dziś pustkami, jakby wszyscy nagle pouciekali, zostawiając mi otwartą furtkę do operacji pod kryptonimem „Amorki albo Humorki, czyli sztuka szukania bez zbędnego wkurwiania”. Banknoty były trochę zmięte, jakby stary żul przez pół życia chował je głęboko w gaciach, ale przecież tylko takie miałem w przegródce. Na usprawiedliwienie mogę dodać, że nie czułem się wtedy komfortowo. Ani trochę. Miałem nadzieję, że mój schludny strój, starannie uczesane włosy i wysoka kultura osobista nadrobią ten jakże przykry błąd sytuacyjny, towarzyską wpadkę. Pamiętam nawet, jak to się nazywa w obcym języku. Nie, nie pomagajcie mi. Faux pas. Chyba.

Ona zdawała się być podekscytowana, zaskoczona tak nieoczekiwanym spotkaniem, ale zadowolona. Uśmiechnęła się do mnie, a ja do niej; od razu poczułem, że między nami iskrzy. Intuicja mnie nie myliła: oto stoję przed kobietą swego życia. Z wrażenia zostawiłem portfel, odchodząc z cholernie wielką pokusą ostatniego spojrzenia w jej wielkie oczy, ale Jennifer (przynajmniej takie imię widniało na plakietce przypiętej do siwego swetra z delikatnym dekoltem; skąd u pracowników takie etykiety? Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Boże, więc jednak istniejesz!) poczekała, aż oddalę się na odpowiednią odległość, i zawołała przepięknym, melodyjnym głosem: Proszę pana! Portfel!

Odwróciłem się, a na mojej twarzy malowało się najczystsze w świecie spełnienie, to uczucie, gdy wracasz do domu, żona wychodzi z pokoju ze śpiącym na rękach dzieckiem i obdarza cię spojrzeniem, które podnosi ci kąciki ust.

I żyliśmy długo i szczęśliwie.

Lepiej, nieprawdaż? Może trochę banalnie, zbyt melodramatycznie, ale przecież wielbiciele miłosnych historii nie szukają na zapisanych kartkach życiorysów małomiasteczkowych pryków w próchniejących chatkach, tylko uczuć; tego dziwnego wirowania w żołądku, szaleńczej gonitwy myśli nieraz tak sprzecznych, że ciężko uwierzyć, że rodzą się pod jedną kopułą, tej dziwnej chęci do porzucenia wszystkiego, z czym do tej pory mieliśmy do czynienia, zerwania z całym światem, pod warunkiem że za ostatnimi drzwiami będzie czekać właśnie ona, tylko ona.

Jeśli to czytacie, tego pewnie oczekujecie; w przeciwnym razie wróciłibyście do Cobena, Koontza, Kinga czy Lovecrafta. Jeśli nadal tu jesteście, a mimo to czujecie się zawiedzeni, dajcie sobie spokój. Nie potrafiłem ofiarować niczego tej jedynej kobiecie, a co dopiero wam. Ciężko rzucić komuś świat do stóp, gdy dysponujesz tylko marną wersją siebie. Niektórzy boleśnie się o tym przekonują. Nie byłem przystojny, dobrze zbudowany, o inteligencji mogłem co najwyżej pomarzyć. Jedyne, co potrafiłem, to okładać ludzi pięściami. Na ulicy się przydawało. Tylko tam.

To nie jest kolejny hymn opiewający błogosławiony przypadek, kochane zrządzenie losu czy nieomyślne przeznaczenie. To opowieść o pierdolonym zbiegu okoliczności, pieprzonym spisku czasoprzestrzennym, którego ofiarą się stałem, niczym antyczni bohaterowie skazani na kaprysy bogów.

Moje pierwsze spotkanie z nią trwało kilka sekund. Szwendałem się po bibliotece, szukając sam nie wiem czego, a najpewniej po prostu zabijając czas, którego ostatnio miałem aż zanadto. Zwolnili mnie z papierni, to już siódma firma, w której nie wytrzymałem dłużej niż miesiąc. Jak zwykle poszło o mój, jak to powiedzieli, trudny charakter. Wcale nie jestem trudny, ja najzwyczajniej w świecie nienawidzę podziałów

na równych i równiejszych. Jeśli jakiś spokrewniony z szefem kutasina uważa, że może opuszczać swoje miejsce pracy, obarczając nas dodatkową robotą tylko dlatego, że nazywa się tak a nie inaczej, to przepraszam bardzo. Moje pięści nie potrafią czytać, ale z chęcią sprawdziły, czy frajer nie miał czasem na twarzy swoich inicjałów napisanych alfabetem Braille'a. Mój atak miał charakter czysto empiryczny, po prostu byłem ciekaw.

W bibliotece poraził mnie spokój, niespotykana nigdzie indziej (no, chyba że na cmentarzu) cisza i harmonia. Ludzie stąpali cichutko po posadzce, zupełnie jakby fruwali, albo chodzili po wyjątkowo miękkim dywanie. Moje ciężkie kroki początkowo wzbudziły nieprzychylnie spojrzenia, ale dość szybko dostosowałem się do panujących we wnętrzu budynku reguł. Tam nie było zbędnych podziałów, tylko człowiek i ogrom książek na zakurzonych półkach. Jedni przechadzali się między regałami, inni ślęczeli nad referatami przy ogromnym stole - rysiki przecinały powietrze suchym szuraniem. Bibliotekarka siedziała za biurkiem pogrążona w jakiejś książce, nieświadomie obgryzając paznokcie; założyła nogę na nogę, a jej stopa w czarnym bucie z niskim obcasem rysowała pod masywnym blatem niezrozumiałe kształty, zatrzymując się na chwilę, gdy kobieta przewracała kartkę.

Zastanawiałem się, jakie to uczucie. Co kotłuje się w głowie człowieka skupionego nad niezliczonymi kolumnami liter, kropek i przecinków, jak pracuje jego wyobraźnia, czy kreśli dokładne obrazy wszystkiego, co przeczyta, czy zarysowuje tylko niewyraźne kontury, zostawiając resztę słodkiej niepewności. Do tego stopnia pogrążyłem się z zamyśleniu, że wpadłem ramieniem na jeden z ogromnych regałów. Mebel nawet nie drgnął; on trzymał na swoich barkach setki książek, nierzadko w twardych oprawach, ja na lichych gnatach taszczyłem niecałe sto dwadzieścia funtów skóry i zanikających mięśni. Próba ruszenia tego molocha była jak gra w bierki w zimowych rękawiczkach.

Nie przesunąłem regału, ale zwróciłem jej uwagę. Stała nieopodal, wertując niespiesznie strony jakiejś książki. Nie wiem, czy bardziej usłyszała głuche łupnięcie mojego ramienia, czy bogatą wiązaną epitetów zaraz po nim. Nieważne. Istotne, że podniosła głowę znad lektury i utkwiała we mnie spojrzenie. To był moment, który nigdy nie powinien nadejść, powtarzałem sobie później podczas nieprzespanych nocy.

Dziewczyna miała długie, kasztanowe włosy, piwne oczy, wąski nos i łagodne rysy twarzy przypominające wszystkie nieznajome piękności, które siedzą na parkowych ławkach z książkami w dłoniach, rozciągając wokół siebie aurę subtelności i klasy; przedsionek nieba. Miała na sobie jasne jeansy i kremową tunikę, a na szyi ozdobny szal w kolorze morskiej piany. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, moje ciało przeszył prąd, rozchodził się od serca, promieniując aż do czubków palców. Przez ułamek sekundy myślałem, że stracę przytomność, mgiełka zasnęła mi wzrok, zapierając dech w piersiach.

Stałem oparty o pionową belkę regału z łomoczącym sercem, a świat zastygł w bezruchu. Drobiniki kurzu tańczące w snopach wpadającego przez okna światła gwałtownie zwolniły, ucichły suche drapania piór i długopisów, ludzie zatrzymali się w najdziwniejszych pozach, jakie kiedykolwiek widziałem. Wszystko zamarło. Wszystko z wyjątkiem dziewczyny. Jej twarz nadal miała ten sam, zamyślony wyraz, ale źrenice jej piwnych oczu zwężyły się i rozszerzały w rytm mojego galopującego oddechu. Widziałem to, widziałem to bardzo dokładnie. Piersi pięknej nieznajomej falowały jak gdyby nic, podczas gdy ja ze świstem wypuszczałem powietrze z dziko pracujących płuc. Nikt nie zauważył mojego potknięcia, tylko ona. Studenci nie odwrócili nosów od referatów, bibliotekarka nie zwolniła z lektury, a inni zwiedzający zaabsorbowani byli szukaniem tytułów wśród nieliczonych rzędów milczących, papierowych grzbietów. Tylko ona zwróciła uwagę na gapowatego chudzielca w poszarpanych włosach miotającego inwektywy pod adresem zaimpregnowanego kawałka drewna.

Po kilku sekundach, które zdawały się trwać zdecydowanie za krótko, dziewczyna spuściła wzrok i na powrót wertowała kartki. Brak reakcji ze strony nieznajomej zszokował mnie bardziej niż jej nieprzeciętna uroda. Zaczerwieniłem się jak dziecko dostające reprimendę przy całej szkole, po czym zawiąłem ogon. Nie wiedziałem, co zrobić. Całe życie spędziłem na ucieczce od wszystkiego, co ludzkie.

Otaczałem się patologią, by zrekompensować sobie społeczne upośledzenie. Teraz stałem oko w oko w esencją piękna. Logiczne, że uciekłem.

Od tamtego czasu codziennie bywałem w bibliotece. Przestałem szukać innej pracy. Po co? Nie wytrzymałbym w niej dłużej niż poprzednio. Ucieczka z gówna do rzeki toksycznych odpadów to żadna ucieczka, co najwyżej pogłębianie własnego grobu. Nie spałem po nocach. Twarz dziewczyny prześladowała mnie wszędzie i o każdej porze. Nie potrafiłem o niej zapomnieć. Spacerowałem wśród bibliotecznych regałów od rana do popołudnia, gdy sprzątaczką siłą wyrzucała mnie na ulicę. Często stałem nieruchomo w miejscu, gdzie wtedy zobaczyłem nieznajomą. Wyglądałem jak duch, widmo sterczące w jednym punkcie jak nawiedzona pamiątka morderstwa. Zachowywałem się jak psychol, ale czyż zakochany człowiek nie jest na swój dziwny sposób szalony? Czyż nie postradał zmysłów?

Pewnego dnia postanowiłem wyruszyć do biblioteki po raz ostatni. Kończyły mi się oszczędności, od dawna nie jadłem porządnego posiłku, a nieznajoma jakby zapadła się pod ziemię. Kojarzyła mnie już większość bywalców. Jedni posyłali mi współczujące spojrzenia, inni kiwali głową z dezaprobatą. Niech sobie kiwają. Moim życiem była dziewczyna, która zrobiła mi w mózgu prawdziwe tornado. Poza nią nie miałem niczego ani nikogo. Chciałem przychodzić tutaj do końca mojej jałowej egzystencji, pragnąłem tego z całego serca, ale głos rozsądku był nieprzejeđnany. Ostatni raz. Próba generalna. Jeśli okaże się klapą, pogódź się z tym. Może nie była mi pisana.

I właśnie tego dnia ją spotkałem. Dzień był zimny i deszczowy, więc włożyłem ciepłą kurtkę. Byłem słaby i wyczerpany, w takiej kondycji złapałbym jakiegoś groźnego wirusa w mgnieniu oka. Wszedłem do biblioteki, strzepując mokre włosy z głowy jak pies pozbywający się nadmiaru wody z sierści. Ochlapałem przy tym parę osób, w tym bibliotekarkę. Po raz pierwszy usłyszałem, jak krzyknęła. Kazała mi wyjść.

Nie teraz.

Nie dzisiaj.

Zignorowałem protesty zniesmaczonych ludzi i prowokujące szturchnięcia. Prawdę mówiąc, miałem to gdzieś. Liczyła się tylko dziewczyna. Oraz moje ostatnie podejście.

Wtedy ją dostrzegłem. Stała tam gdzie wieki temu, odkładała jakąś książkę na półkę. Dzisiaj nie musiałem szturchać mebli, by zwrócić jej uwagę. Szedłem wśród ściany zrzedzających ludzi jak Naród Wybrany przez Morze Czerwone. Jak tylko pojawiła się na horyzoncie, przyspieszyłem. Nie mogłem inaczej. Tyle dni, oczekiwania, wyniszczających myśli, zarwanych nocy. Serce znów dziko zabiło mi w piersi, a oczy mało nie wylazły z orbit. Ale czy jeszcze mogę zawrócić od tego, co planowałem tyle czasu? Słowo daję, że chciałem. Pragnąłem tego najbardziej na świecie.

Tym razem dziewczyna ubrała się spódniczkę do kolan i ciemny żakiet. Rozwiane wtedy włosy upięła w koński ogon. Wtedy była piękna, dziś była zjawiskowa. Patrzyła na mnie z mieszkanką ciekawości i zaniepokojenia. Jakby podświadomie przeczuwała nadciągające kłopoty.

Stałem naprzeciw niej. Brudną ręką rozpiąłem suwak kurtki i wyjąłem plastikowego pilota własnej roboty. Płakałem. Nieznajoma patrzyła na to coraz bardziej zszokowana.

- Przepraszam – wydusiłem przez zaciśnięte gardło. Chciałem powiedzieć „kocham cię”, ale nie dałem rady.

Zdetonowałem ładunek.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.